

Anna Potoczek

Lalibela 2003

Wydawało mi się, że o Lalibeli po raz pierwszy przeczytałam dawno temu u Kapuścińskiego. Ale być może to pomyłka, bo później nie mogłam Lalibeli znaleźć w żadnej z jego książek, póki nie ukazał się *Heban*. Jest więc prawdopodobne, że dowiedziałam się o niej od kogoś innego, jakiegoś Anonima zgubionego w pamięci, który pozostawił tam tylko niewyraźny cytat z pogranicza kultury i wyobraźni. Zapamiętałam jednak, że miejscowość ta znajduje się na północy Etiopii, w głębi Czarnego Łądu, na terytorium jednego z bardzo starych chrześcijańskich królestw, gdzie w XII wieku wykuto w litej, wulkanicznej skale ogromny kompleks kościołów, zdumiewające dzieło, uważane w kościele etiopskim za miejsce święte. Według legendy, polecił je zbudować król z dynastii Zagwe, noszący imię Lalibela, ale budowali nie ludzie, lecz aniołowie. Nie wiadomo jak rzeczywiście powstały i kto je projektował, czyja wizja pozostawiła te świątynie przywodzące na myśl świetność Bizancjum w środku Rogu Afryki, gdzie przez wiele stuleci pozostawały prawie niedostępne z zewnątrz, istniały niemal tylko same dla siebie. Było tak aż do połowy XX wieku, kiedy to północ Etiopii zyskała światową sławę, lecz nie z powodu sztuki, ale wielkiego głodu. I to on, a nie sztuka, zapadł mi w pamięć. Kościoły Lalibeli znalazły się obok śmierci głodowej na prawach kontrastu. I myślałam – a więc jest to święte miejsce chrześcijan, a równocześnie tak nieszczęśliwe, że wolno chyba nazwać je przeklętym. Czyli przekłete, mimo, że święte, czy też raczej święte i przekłete niezależnie od siebie, choć jak to ze sobą pogodzić, skoro przyczyną klęski głodu nie był sam brak żywności, ale korupcja i chciwość, które stały się zbrodnią? Lecz trudno o odpowiedź na takie pytania. Trudno tym bardziej, jeśli wie się tak mało o dalekim miejscu, do którego nie sięga ani nadzieja, że się go kiedyś zobaczy, ani ograniczona w swych możliwościach wyobraźnia.

Wyobraźnia

Bo wyobraźnia ma swoje ograniczenia, zwłaszcza gdy usiłuje działać w obcych dla siebie rejonach. Popęlnia wtedy błąd za błędem, grzęznąć beznadziejnie w tym, co wiadome, przeżyte, co już się dobrze zna. I któż, kto choć trochę podróżował, nie

zna uczucia zdumienia, które ogarnia w spotkaniu z prawdziwie nieznanym? Tego oszołomienia, a jakże często – rozczarowania? Lecz – i to jest tak ciekawe – rozczarowanie obcością dotyczy zwykle nie jej samej, a faktu, że obce nie jest swoim, że nie można się w nim od razu rozeznąć, spokojnie i bez wysiłku usadowić. Jest to w podróżowaniu sytuacja typowa, a trudno od razu ocenić jak dalece fałszywa i dla wniosków z podróży niebezpieczna. Sama przeżywałam ją często i trudno mi ocenić jak wiele razy jej uległam, więc wiem o czym piszę. Wygląda z grubsza tak – łąduję w jakimś dalekim i słabo mi znanym miejscu, o którym wiem, że są w nim rzeczy z jakiegoś wyjątkowego powodu godne poznania. A więc bardzo chcę je poznać, zbliżyć się, zobaczyć. Lecz oto powstaje problem – jak je oddzielić od innych rzeczy, których poznanie jest mi niemiłe, a nawet wolałabym nie mieć o nich głębszego pojęcia, ponieważ grożą smrodem, widokiem nędzy, niewolniczej pracy, objawami chorób i braku higieny, a często po prostu utratą portfela? Ale z drugiej strony, jak zobaczyć Kalkutę, Tadź Mahal czy ghaty Benares bez ich atmosfery apokaliptycznego rozkładu? Albo bezkres azjatyckich pustkowi i jego przeciwieństwo w tłoku tamtejszych miast? A piękno Afryki bez jej upału, much, malarii i AIDS, bez jej żywotności równie wielkiej jak jej apatia, bez neolitu jej wiosek, analfabetyzmu, zacofania, nieokrzesanego bogactwa? Nie, to niemożliwe. Jedno istnieje w drugim, ściśle połączone, złane w jedną całość w której nie dostrzega się szwów. Z tej strony zebry i antylopy na pachnącej sawannie, z tamtej lepianki z mułu, bose nogi, na ubitej ziemi dwa kamienie jako żarna. Ale jest bardzo wiele stron, a każda z nich inna. Na przykład zagadkowa strona powszechnej wesołości i śmiechu. Strona kolorów i światła. Strona elegancji w ludowym ubiorze i chyba jeszcze większa w pozornej nagości ciała. Strona wytwornych fryzur dla których żelem jest błoto. Strona smaku wody, gdy jej brakuje, wytrwałości w wysiłku, cierpliwości w zmęczeniu. Strona spokoju, a nawet dostojeństwa w zgodzie na los. Właściwie nie można się w tym nie pogubić. Nie można nie zapragnąć czyjejs zyczliwej rady, pouczenia, jakiegoś nie wiadomo właściwie czego tyającego przygotowania.

I tu wyłania się następny problem. Bo któż właściwie może mnie pouczyć, jak mam używać oczu i uszu i nosa, nie mówiąc już o kieszeni na pieniądze i dokumenty? Mój własny aparat fotograficzny, skłonny do ujęć które na pewno się spodobają? Przewodnik z edycji *Lonely Planet* albo *Spectrum Guide*? Czy też raczej literatura, która jednak opisuje rzeczy, których na pewno nie zobaczę – Konga, jakie widział Conrad, Kenii Karen Blixen, nieokreślonych krajobrazów Naipaula, Południowej Afryki w przeżyciu Gordimer i Coetzee? A może dziennikarstwo – reportaże o rzeziach w Ruandzie, wojnie religijnej w Algierii i w Sudanie, korupcji w Nigerii, liberyjskim fenomenie niewolniczym, apartheidzie, Komisji Pojednania i Prawdy, która sprawnie działa, choć niewielu jest chyba takich, co wierzą w prawdziwą afrykańską prawdę i pojednanie? Nie wiem co wybrać. Tu także jest wiele różnych stron, punktów odniesienia, perspektyw, akcentów i rodzajów porządku, którego przybysz z zewnątrz wcale nie dostrzega. Cóż zatem może mnie przygotować? Pamiętam zaskakujące wyznanie Lampedusy, dotyczące Szkocji – że do jej wyglądu przygotował go „Makbet”, choć w jego tekście nie ma ani jednej wzmianki o pejzażach. A jednak, tak

mniej więcej Lampedusa to ujął, został przez Szekspira dokładnie przygotowany na to, co miał zobaczyć, łącznie z szarością i zielenią pagórków i odcieniem chłodnego, wilgotnego, przejrzystego powietrza. I chyba Lampedusa ma rację. Są jakieś obrazy, teksty, skojarzenia, które poza swoim właściwym celem przygotowują, choć jeszcze nie wiadomo do czego. Może do tego, żeby można było później zobaczyć ich treść po swojemu, własnymi oczami. Ale mnie przytrafiło się coś jeszcze bardziej karkołomnego, bo do zobaczenia Lalibeli przygotował mnie reportaż Kapuścińskiego, którego Kapuściński w tamtym czasie chyba jeszcze nie napisał. W każdym razie zostałam przygotowana. I z powodu Kapuścińskiego Lalibela pokazała mi się inaczej. Lecz co to znaczy inaczej, skoro właściwie nic o niej nie wiedziałam? Więc żeby się dowiedzieć, co jest w Lalibeli inne, tuż po powrocie znów przeczytałam Heban.

Heban

Odkryłam wtedy, że reportaż opatrzony tytułem *Lalibela* '75 liczy dziesięć stron, z czego o samym mieście traktuje jedna trzecia strony, czyli zadziwiająco mało. W dodatku ta jedna trzecia strony napisana została tak bezosobowo, jakby Kapuściński, podróżnik jakże wytrawny, nie miał na nią pomysłu i sięgnął po pomoc do turystycznego przewodnika. Nie jest to zarzut – być może uznał, że dla opisanego tego miejsca w czasie, gdy go zobaczył, taki ton i taki klimat będą właściwe, odpowiednie do przesłania tekstu, do jego zamierzonego celu. Tym celem bowiem jest nie miejsce, lecz konflikt, i to nie między kimś a kimś, a w samym środku porządku świata, konflikt który jest raną afrykańskiego istnienia. Leży on na przecięciu się osi dobra i zła, sprawiedliwości i jej braku, a także w ulotności pojęcia nadziei. Trudno się dziwić, że w tak ujętym temacie zabytki stają się rekwizytami, bez roli na scenie, gdzie toczy się gra. Są tylko częścią scenerii, użyteczną pointą, bez wpływu na morał. Właściwie zaledwie są, skurczone do rozmiarów odważnika na wadze, gdzie na jednej szali ludzka bezsilna rozpacz, a na drugiej czcigodne, stare, obojętne kamienie.

Z tych zapewne powodów w *Lalibeli* '75 najważniejszą częścią jest opis długiej, wyczerpującej i trudnej podróży ciężarówką przez bezdroża. Rozpoczyna się on od zdania: „*Środkowa Etiopia to wielki, rozległy płaskowyż poprzecinany rozlicznymi urwiskami i dolinami.*” Autor tłucze się po tych urwiskach i dolinach w marnym pojeździe, obawia się band grasujących rozbójników, cierpi od kurzu i potu, mija góry ze zwietrzałego kamienia, myśli o ludziach, którzy tam wegetują, o ich masowym umieraniu z głodu, o którym słyszał. Pisze: „*Zresztą jak można to pojąć – „masowo umierać?” Człowiek zawsze umiera sam, moment umierania to najbardziej samotny moment jego życia. „Masowo umierać” to znaczy, że jakiś człowiek samotnie umiera. Tyle, że w tym samym czasie, też samotnie, umiera jakiś inny człowiek. I równie samotnie – jeszcze jakiś inny. I że tylko tak się złożyły okoliczności – i to najczęściej bez ich woli – iż każdy z nich, przeżywając samotnie chwile swojego własnego, jedynego umierania, znalazł się w pobliżu wielu innych, którzy też w tym momencie umierają*”. I zastanawiając się nad tym paradoksem Kapuściński odbywa okropnie niewygodną podróż nie tylko przez ubogi, ledwie żywy

kraj, ale i przez historię Afryki, przez jej udręki, cierpienia, wielkie oczekiwania po końcu ery kolonialnej, a potem znowu wojny, zapaści, gigantyczne, nierozwiązane problemy, los pionka w toczących się na świecie wielkomocarstwowych interesach. Myśli także o stosunku państw rozwiniętych wobec Afryki i stwierdza gorzko: *„Na to nakładała się tradycyjna już europocentryczna pyszałkowatość i arogancja w stosunku do kultur i społeczeństw nie-Białych. Stąd też ilekroć wracałem z Afryki, nie pytano mnie: „A jak tam Tanzańczycy w Tanzanii”, tylko: „A jak tam Rosjanie w Tanzanii”. I zamiast spytać o Liberyjczyków w Liberii, pytano: „A jak tam Amerykanie w Liberii?” (To zresztą i tak lepiej niż w przypadku niemieckiego podróżnika H.CH. Bucha, który żalił mi się, że po morderczej wyprawie do najbardziej odległych społeczeństw Oceanii słyszał zawsze jedno pytanie: „A co tam jadłeś?”) Nic nie sprawia Afrykańczykom większej przykrości niż takie przedmiotowe, instrumentalne ich traktowanie. Odbierają to jako poniżenie, degradację, policzek”.*

Opis podróży trwa już siedem stron, wpisuje się w historię najwybitniejszej polskiej prozy, ale o tytułowej Lalibeli jeszcze ani widu ani słyhu, wciąż pozostaje za horyzontem, daleko, bardzo trudno do niej dotrzeć, tak że czytelnik gotów ją potraktować jako miejsce mityczne, raczej symbol rite de passage niż rzeczywiste miasto, do którego jednak można kiedyś dojechać, osiągnąć cel, wysiąść z szoferki, wytrzeć spocone czoło, iść do byle jakiego baru na bardzo dobrą kawę.

Lecz droga trwa, a nawet coraz na niej straszniej i straszniej. Na mijanych rynkach Kapuściński widzi stragany pełne jedzenia, a wokół nich ciszę i pustkę. Wchodzi dalej, a każde dalej w Afryce oznacza lepianki, ledwie trzymające się ziemi slumsy. *„Muchy były wszędzie. Pienią się czarnym, gęstym kłębem, rozdrażnione, szalejące, wściekłe. Uciekając przed tymi muchami, które od razu rzuciły się na nas, napotkaliśmy w bocznych uliczkach świat odmienny – opuszczony i już w agonii. Na ziemi, w brudzie i w kurzu leżeli wychudzeni ludzie. Byli to mieszkańcy okolicznych wiosek. Susza pozbawiła ich wody, a słońce spaliło uprawy. Przyszli tu do miasteczka w rozpaczliwej nadziei, że dostana łyk wody i znajdą coś do jedzenia. Osłabieni i już niezdolni do wysiłku, umierali śmiercią głodową, która jest rodzajem śmierci najcichszej i najbardziej uległej. Mieli wespółzymknięte oczy, bez życia, bez wyrazu. Nie wiem, czy coś widzieli, czy gdzieś w ogóle patrzyli. Tuż obok miejsca, gdzie stałem, leżały dwie kobiety, ich wynędzniałe ciała dygotały, wstrząsane malarią. Drzenie tych ciał było jedynym ruchem na tej uliczce. (...) W owym czasie umarło w Etiopii milion ludzi, ale ukrywał to najpierw cesarz Hajle Sellasje, a potem ten, który pozbawił go tronu i życia – major Mengistu. Dzieliła ich walka o władzę, łączyło kłamstwo”.*

Czy chcemy jechać dalej? Nie mamy już chyba wyjścia, jesteśmy razem z Kapuścińskim w zamkniętej ciężarówce, która nie może się zatrzymać, skoro wokół strony dziewiętej *„cały czas górskie wąwozy, rozpalone jak wnętrza hutniczych pieców, puste, bez ludzi i roślin”.* Nie możemy go opuścić, ale podróż bardzo nas udręczyła, wyczerpała, więc jakoś nie cieszymy się, nie mamy na to sił, gdy w końcu nadciągają krótkie, dobitne, ale po tym wszystkim co nam Kapuściński zdążył opo-

wiedzieć, jakoś bardzo banalne zdania; „*I wreszcie – Lalibela. Lalibela jest jednym z ośmiu cudów świata. A jeśli nie jest – powinna być*”.

A przecież nie tylko my, ale sam Kapuściński jest już jakby bez życia, zmęczony, wyrzucił z siebie to, co najważniejsze, a teraz chce odpocząć, przekartkować przewodnik turystyczny, usiąść przy szklance piwa marki Harar, a potem powolutku, bez pośpiechu pójść na zasłużony spacer. Czuje się taką pokusę w szybkości z jaką reportaż się kończy, w pośpiechu tego końca, w jego skrócie, który tytułową Lalibelę zamienia w migawkę. „*Bo oto co zobaczyłem: stałem w miejscu, skąd widać było w dole, pode mną, wykuty w skale kościół. To znaczy, ten kościół był trzypiętrową bryłą wyciętą w wielkiej górze, w jej wnętrzu. A dalej, w tej samej górze, niewidoczny z zewnątrz, był wycięty następny kościół i następny. Jedenaście ogromnych kościołów. Ten fenomen architektury zbudował król Amharów, święty Lalibela, a Amharowie byli (i są) chrześcijanami obrządku wschodniego. Zbudował je wewnątrz góry tak, aby najeżdżający te ziemie muzułmanie nie mogli ich dostrzec z daleka. A nawet gdyby, to ponieważ stanowią one integralną część góry, muzułmanie nie mogliby ich zburzyć ani nawet ruszyć. Są tu kościoły Marii Dziewicy, Zbawiciela Świata, Świętego Krzyża i Świętego Jerzego, Marka i Gabriela, a wszystkie połączone podziemnymi tunelami*”.

I tylko tyle widzimy z Lalibeli. Nie dowiadujemy się o niej już niczego. To koniec, do którego szybko prowadzi ręka przewodnika, małego, głodnego, jednookiego chłopca, który pokazuje Kapuścińskiemu zasiedlających kościoły żebraków. Chłopiec i Kapuściński stoją przed kościołem Zbawiciela Świata. To znaczy stoją na skarpie ponad kościołem, a w dole, w jamie pomiędzy kościołem i skałą, ci żebracy „*kłębią się*” i „*pełzną*”, tworzą, jak pisze udręczony Kapuściński „*poruszający się i pełzający stwór*” z którego „*coraz to odpadał nieruchomy już, porzucony przez resztę, człon*”.

- *Have you seen, sir?* – pyta chłopiec, zaś Kapuściński dodaje „*A powiedział to takim tonem, jakby uważał, że to jedno naprawdę powinienem być zobaczyć*”.

Tak kończy się strona dziesiąta. W pierwszym wydaniu z 1998 roku jest ona w połowie pusta i choć w samej Lalibeli byliśmy z Kapuścińskim tak krótko, właściwie tylko przez moment, niechże on nie prowadzi nas głębiej w tą otchłań, niech to puste miejsce będzie na zawsze puste, niech tak już pozostanie.

Niedziela w Lalibeli 2003

Jest niedziela, połowa września. O piątej rano jest jeszcze ciemno, na otwartym, hotelowym korytarzu-balkonie panuje chłód. W ogóle w Lalibeli jest tak chłodno, że nie tylko za dnia chodzę w koszuli z polaru, ale nawet śpię w swetrze, przykryta kołdrą i kocem. Pora deszczowa już się skończyła, ranki bywają słoneczne, pogodne, ale wczesnym popołudniem zawsze pada, deszcz zaczyna się nagle, bez zachmurzenia ani wiatru, zupełnie tak, jakby w niebie był zegarek, który reguluje pojawianie się w powietrzu gęstych, zimnych kropel. Ulewy trwają około godziny i kończą się

równie nagle, jak się pojawiły. Ziemia łśni wtedy niezliczonymi kałużami, na drogach pęcznieje i mięsi się brązowe błoto. Przez resztę dnia i w nocy ma się wrażenie wilgoci, od której zielenieją rozciągnięte w dolinach pola. Gdy jest jasno, dominującym kolorem okolicy jest zielony, cały krajobraz jest seledynowy, soczysty, świeży, tchnie rześką młodością traw i zbóż.

Ale noc ukrywa barwy, a księżyc nie świeci, ale zaledwie jest na niebie, jako blada i płaska, zaśniedziała tarcza. Późnym wieczorem na czarnym tle świeci mnóstwo obcych gwiazd, widać Drogę Mleczną tak wyraźnie, jakby była namalowana. Lecz jest już piąta, niedługo nadejdzie świt i niebo opustoszało. Na ziemi także nie ma światła, choć w miasteczku jest elektryczność, po zmierzchu gdzieś palą się żarówki, oświetlone są skromne bary, puste sklepiki, pierwsza tu i pełna młodzieży, internetowa kawiarenka. Teraz jednak panuje zupełna ciemność, a w niej wyraźne są tylko głosy, które zaciekawiają, zapraszają.

Zaczyna się od dalekiej, monotonnej, śpiewnej recytacji. Na początku, jeszcze w Addis Abebie, budziłam się, słyszałam ją za ciemnym oknem i nie wiedziałam co to jest. Miasto było ciche, bez zgiełku komunikacji, bez kroków przechodniów, nawet bez szczekania opisywanych przez Kapuścińskiego, bezpańskich psów. W ciszy słysząc było tylko ten męski głos, przeciągły, o pięknym, głębokim brzmieniu, oznajmiający w nadchodzącym świetle coś, czego nie rozumiałam. Muezin? Dla niewprawnego ucha różnice są podobieństwem. Ale już po kilku wolno płynących minutach dochodziłam do wniosku, że to nie muezin. Melodie islamu są inne, ostrzejsze, bardziej przenikliwe, o mocniejszych przejściach, załamaniach, kontrastach. Nie muezin, więc kto? Głos śpiewał spokojnie, równo, jakby witając nowy dzień z wdzięcznością i zaufaniem. Nie było w nim niepokoju ani skargi. Bardzo to niezwykle uczucie – obudzić się w ciemnym pokoju, w przypadkowym hotelu, w nieznanym kraju i usłyszeć taki głos u samego początku brzasku, w jego zacynie, w tym momencie doby, która jest jej przełomem, ma w sobie podobieństwo do początku świata. Potem miałam słyszeć podobne głosy także w innych miejscach, w innych hotelach. Pokoje w tych hotelach, często najlepszych jakie istnieją w okolicy, były prawie takie same, skromne i byle jakie, bez żadnego charakteru. I nagle, w zupełnej ciszy – ten głos. I domyśliłam się, bo czymże innym miałyby to być, że ten głos się modli. Modli się w obecności miasta, które śpi, lecz zaraz się zbudzi, w obecności wszystkich którzy w nim są, publicznie zwraca się do Boga i coś do Niego mówi, z czymś brzmącym naprawdę bardzo szlachetnie do Niego się zwraca.

I to samo dzieje się w Lalibeli. O piątej, gdy się budzę i myję w zimnej wodzie, głos już jest. Zdażyłam się dowiedzieć, że to początek codziennej, a w niedzielę uroczystej mszy w obrządku etiopskim i że słucham psalmów śpiewanych w bardzo starym, już prawie niezrozumiałym i używanym tylko w liturgii języku gyy. Nie ma nikogo, kto by mi powiedział, które to psalmy. Zresztą to nie ma znaczenia. W samym głosie, w jego śpiewie, w porze dnia, w chłodnej, afrykańskiej nocy jest jakaś niezrównana, spokojna harmonia. Idę przez otwarty korytarz, czuję zapach wilgotnej ziemi i drzew mimozowych, i nie mogę się oprzeć jej wrażeniu. Tuż za hotelowym

parkingiem zaczyna się bita droga, pełna błota i dziur, których w ciemności nie widać. Wielu ludzi idzie tą drogą, wszyscy w jednym kierunku. Jest ich naprawdę wielu, widzę ich od tyłu, owiniętych w białe, bawełniane szale, które w północnej Etiopii zastępują płaszcze. Większość ludzi, mężczyźni i kobiety, chodzą tu ubrani w biel, bywa, że cały tłum jest ubrany na biało, białe są suknie, pasy, tuniki, chusty na głowach i te szale, a właściwie proste, duże kawałki ręcznie tkanego, grubego sukna. Zaczyna świtać i ich białość widać jako pierwszą, zanim będzie można zobaczyć drogę biegnącą pod górę, slumsowate domki, pagórkowatą okolicę i wąską strugę, która nazywa się Jordan. Trzy grupy kościołów leżą po obu brzegach tego Jordanu który, pomimo deszczów, ledwie cieknie. Idziemy do Jerozolimy, to jasne, że idąc do kościołów Lalibeli idziemy na pielgrzymkę do Jerozolimy, robimy to razem, te wszystkie liczne białe duchy i ja, niewyspana, zablocona, urzeczona. I w takiej chwili nie ma nic bardziej naturalnego niż psalmy. Śpiew skierowany do Boga jest w niej pozbawiony wszelkiej innej funkcji, poza potwierdzeniem, że się jest. Podobno znaczna część wiernych nie rozumie języka gyys, więc nie wie dokładnie o czym się w liturgii mówi. Czyli wie, ale w przybliżeniu, wie nie poprzez umysł, ale przez serce i słuch. Ja też dowiaduję się poprzez słuch. Ale o czym się dowiaduję? Trudno powiedzieć. Słucham i myślę sobie, że to mógłby być psalm pierwszy, królewski, pełen majestatu i zaufania. Pisany przez koczowników, pasących na półpustyni kozy i owce, a śpiewany teraz dla niepiśmiennych chłopów, którzy na szczęście mają już od dawna jakieś jedzenie. I dla mnie też. I – ale jakże się to wydaje prawdziwe, a równocześnie przesadne w tym biednym tłumie – dla całego świata.

„Szczęśliwy, kto nie chodził za radą bezbożnych i na drodze grzeszników nie postął, i w gromadzie naśmiewców nie siedział.

Ale w prawie Pańskim na upodobanie i naukę Pańską bada w dzień i w nocy.

I będzie jak drzewo zasadzone u strumieni wód, które wydaje owoc, kiedy jest jego czas, i którego liść nie usycha. A cokolwiek zacznie, powie dzie się”.

Tak, naprawdę miałam wrażenie, że mógłby to być ten psalm.

Droga

Z zewnątrz nic nie widać. Droga pnie się po łagodnym zboczku, skręca gwałtownie przy granicy właściwego miasteczka. Dalej jest wąski przesmyk pomiędzy skałami, i nawet tam widać tylko wykute w nich stopnie. Jeszcze dalej brama z drewnianych bali, a z obu jej stron nisze, gdzie jacyś okutani w chusty ludzie siedzą nieruchomo i śpią. Potem wejście przez ciemną, głęboką sien. Z sieni korytarz do kaplicy Bet Danaghel, czyli Świętych Dziewic i na dziedziniec kościoła Bet Maryam, Matki Bożej, którego wnętrze jest uważane za najpiękniejsze. Wejście jest bardzo ciasne, a ludzi mnóstwo. Słyszać teraz inny śpiew, płynący ze środka, gdzie palą się świece, naczynia z kadzidłem i lampy jarzeniowe chińskiej produkcji. Robi się coraz jaśniej, ale skała

w której są kościoły jest ciemna, i sama sobą stwarza cień. Ludzie o ciemnej skórze, ubrani na białą, wchodzi w ten cień i znikają w nim, zanurzają się, rozplývają.

Kamień Lalibeli to wulkaniczny tuf o barwie ciemnobrązowej, która w słońcu nabiera odcieni żółci i pomarańcza. Kościoły zostały w nim wydrążone. Trudno to sobie wyobrazić, ale tak właśnie jest. Są nadal tożsame ze skałą, pozostają jej częścią, równocześnie wyrastają z niej i tkwią w jej środku, razem z dziedzińcami, korytarzami, przejściami i wąskimi fosami po których dnie płyną strugi wody, a wysokie, wielometrowe ściany porasta mech. Czyli skała nie tylko je otacza, ale w dosłownym sensie stwarza i nie można jej od nich oddzielić. Skała jest ich ochroną, ale też ich strukturą, ich materią. Właściwie nie ma wokół nich i w ich wnętrzu niemal nic, co nie byłoby tą nagą, surową skałą. Przez wieki wielokrotnie grabione, są niemal zupełnie puste, a skąpe wyposażenie jakie się w nich widzi, jakieś kotary i dywany, wyznaczające środkową przestrzeń „świętego świętych”, które wierni mogą zobaczyć, ale nie mogą doń wejść, są biedne, tandetne, wyglądają jarmarcznie. Jest wielki kontrast między nimi a skałą. Lecz – i to jest szczególne - kontrast ten nie stwarza wrażenia dysonansu. Przeciwnie, te jaskrawe, tanie szczegóły podkreślają jeszcze dostojność całości, jej majestatyczne, bardzo uduchowione i onieśmielające oddziaływanie.

Tuf jest kamieniem miękkim, w którym labirynt Lalibeli mógł powstać i w jakim sensie powstaje nadal, bo wciąż - a wszędzie jest to widoczne - rzeźbi go czas. Namacalna obecność czasu w takim kamieniu i w takich dziełach jest całkiem osobną sprawą, głęboko intymną, bardziej nawet poruszającą niż sama architektura, jej wielka harmonia i piękno. Bo trzeba dodać, że tuf nie jest kamieniem pięknym, właściwie sam w sobie jest brzydki, nie ma szlachetności marmuru, granitu, nawet wapienia. Jest ciemny, trochę porowaty i monotonicznie jednolity, wszędzie taki sam, bez żadnej przyciągającej wzrok żyłki albo plamki. A przecież poza nim w Lalibeli nie ma nic, przy kościołach nic nie rośnie, poza mchem i sitowiem w jedynej, wykutej przy Bet Maryam studni-sadzawce. Zatem mamy do czynienia tylko z brunatnym kamieniem, jest to kamienny, niebywale ascetyczny, ogołocony z ozdób mikroświat. W kościołach tych nie ma mebli, fresków, rzeźb ani witraży. W niektórych większe okna są zabite deskami, i tylko przez szczeliny w tych deskach sączy się światło. W innych jedyną ozdobą jest kształt maleńkich okienek, z wplecionym motywem krzyża greckiego, łacińskiego, egipskiego, koptyjskiego, nawet krzyża swastyki. Na wewnętrznych ścianach bardzo rzadko widać jakiś relief, a kolumny są jedynie słupami, nie mają baz i kapiteli. Tylko w Bet Maryam na środku stoi ogromna kolumna, ściśle zasłonięta, na której są podobno wykute inskrypcje. Co to za inskrypcje? Tego nie wiadomo i nikt tego wiedzieć nie powinien, nawet kapłani, bo jest tam podobno zapisana cała historia świata, od początku do końca, a więc również to, co musi się stać, choć się jeszcze nie stało. Nikt nie mógłby znieść prawdy o przyszłości, więc została ukryta pod przybrudzonym materiałem. Materiał jest byle jaki, to miejscowa, ręcznie przędzona i tkana bawełna, taka jak na noszonych na co dzień ubraniach. I właśnie taki jaki jest, odpowiada swoim celom o wiele lepiej, niż wszędzie tu obecne, produkowane w Chinach prawosławne dewocjalia. Właściwie jedyną prawdziwą

ozdobą kościołów są stare, wspaniałe krzyże do błogosławieństw, o których będzie za chwilę, ale te krzyże są ukryte i ksiądz etiopski wyciąga je z jakiegoś schowka tylko przy specjalnych okazjach. Gdy takich okazji nie ma, nie ma też w kościołach nic szczególnego, co by rozpraszało uwagę i odrywało ją od sedna, od ich prawdziwej istoty, którą jest nieobecny w wizerunkach Bóg, posępny w swych barwach kamień i pokrywający go czas.

Czas

To prawda – czas nabiera w Lalibeli form materialnych. Jest drugim dnem jej starości i zniszczenia, posadzek krzywych od wydeptania, ścian wypolerowanych tysiącami dotknięć, zagłębień w korytarzach, gdzie ludzie musieli się zatrzymywać przez całe stulecia – tam widać go najwyraźniej. Jest także obecny w drewnie framug, drzwi i belek, które dawno przestały być drewnem, przybierając postać mumii drewna. A także w małych grotach, służących do modlitwy, wykutych przy dziedzińcach, między kościołami. Te grotki, które wyglądają jak grobowe nisze w katakumbach, czas wygładził i po swojemu ociosał, uczynił, przynajmniej na pozór, prawie wygodnymi. Siedzą w nich jacyś starzy mężczyźni w zwykłych białych chustach i czytają o wiele od nich starsze modlitewniki o kartach z koźlęcej skóry, zapisane pismem gyys, z miniaturami aniołów i kwiatów w kolorach czerwonym i czarnym. Nie ma nikogo obcego, turystów jak na lekarstwo, w hotelu mieszka nas w sumie piętnaścioro, więc pustelnicy w grotach nie pozują do zdjęcia, są tu dla siebie samych, a nie dla nas. Ale jakże mocna jest w Europejczyku niewiara, że taka samotna modlitwa w grocie może jeszcze się w naszym świecie wydarzyć, że odruchowo podejrzywam tych ludzi o spektakl na użytek przybyszów. Ale nie ma żadnego spektaklu. Etiopczycy pozwalają białym wejść do środka i zobaczyć liturgię mszy, ale stawiają warunek - musimy jakiś czas zostać w kościele, nie zgadzają się, byśmy jedynie rzucili okiem na ceremonię, zrobili zdjęcia i wyszli.

Proszą o to, a nawet stanowczo żądają, co sprawdzam na własnej skórze, gdy robi mi się słabo od nadmiaru kadzidła i chcę wyjść na powietrze. Zostaję zatrzymana. Stojące w przedsionku kobiety wyciągają ręce i zagradzają przejście. Zawracam więc i znajduję w bocznej nawie wolny fragment kamienia. Jest śliski, wytarty, przez swoje zużycie nawet wygodny, więc siadam. Moje ciało dołącza do nieokreślonej rzeszy pomocników czasu w jego powolnej pracy.

Siadam i patrzę. Z tego przypadkowego miejsca nie ma wiele do oglądania, nie ma perspektywy, widać tylko stojących ludzi i nagie ściany jako ich tło. Stoją mężczyźni i kobiety, wszyscy szczupli, prawie wszyscy wysocy, pięknie zbudowani. Mają inną niż nasza linię ciała, strzelistą, wysmukłą, którą można łatwo rozpoznać mimo okrywających ich szat. „Szata” to dobre słowo, słowo jakie nie przychodzi mi nigdy do głowy w świecie, do którego przywykłam. A teraz używam go zamiast słowa „strój” albo „ubiór”, ponieważ w tej sytuacji jest od nich lepsze. I nie ma tu nic do rzeczy, że te szaty to tylko proste bawełniane płachty luźno zarzucone na

głowę i ramiona, naturalnie udrapowane. Ludzie którzy stoją przede mną w cieniu wyglądają w nich pięknie i sami są piękni. Im dłużej patrzę, tym wyraźniej to widzę. Są to naprawdę piękni ludzie o ciemnych, gładkich twarzach, regularnych rysach i ogromnych oczach, które można zobaczyć na etiopskich ikonach. W ich twarzach to oczy są najważniejsze. Ich niezwykle rozmiary podkreślają białkówki, kontrastujące z karnacją skóry i czarnymi tęczęwkami. Gdy podnoszą wzrok, wydają się zbyt duże, nienaturalnie przez tę biel podkreślone i bardzo spokojne. A równocześnie żywe. Wydaje się, że mają wiele do wyrażenia, choć to pewnie nieprawda, bo cóż takiego miałyby wyrażać? Ale nic na to nie poradzę – siedzę na zimnym stopniu, słucham monotonnego, obcego śpiewu i nie mogę się oprzeć jakiemuś trudnemu do zanalizowania podziwowi, zaskoczeniu.

Liturgia

O ile mogłam zrozumieć z tego co widziałam i co mi wyjaśniono, w etiopskiej liturgii ważną rolę odgrywa śpiew, taniec i błogosławieństwo krzyża. Tańczę nie wierni, ale księża i taniec ten jest właściwie kołysaniem się w takt śpiewu, długim, powolnym, hipnotycznym przerzucaniem ciężaru ciała z prawej nogi na lewą i znów na prawą, i tak dalej. W tańcu księża podnoszą trzymane w rękach laski i metalowe kołatki nazywane sistrum, którymi wybijają rytm. Gdy jest ich w kościele wielu, ustawiają się w dwa równoległe rzędy i tańczą jeden naprzeciwko drugiego, jakby w parach. Taniec taki ma oznaczać modlitwę całego ciała, taką, w którą angażuje się każda jego część, hymn ruchu na cześć Stwórcy. Ich poruszenia są płynne, zwinne. Na każdym kroku zaskakuje giętkość i wdzięk tutejszych ludzi, ich swoboda w ruchu, jego szlachetność i łatwość. Taniec księży także taki jest, dostojny, a mimo to wesoły, spontaniczny i swobodny. Chyba trzeba się tu urodzić, żeby w taki sposób tańczyć i śpiewać na środku kościoła, w miejscu nazywanym świętym świętych, do którego wierni nie mogą wejść, choć w wielu kościołach nie ma wokół niego wyraźnej granicy. Trzeba się tu urodzić, żeby ten taniec i śpiew były na swoim miejscu, święte, nie śmieszne.

A krzyże etiopskie... Ach, krzyże etiopskie są czymś wyjątkowym jako dzieła rzemiosła i sztuki i liturgii. W Etiopii są ich tysiące. Małe, średnie, duże i bardzo duże, w każdym kościele, na szyjach, w wyciągniętych rękach żebraków, w antykwariatach i współczesnych sklepach, a wszystkie kunsztowne i zdaje się, że każdy inny, że wypełnienie krzyża jest jak morze, kształt ten sam, choć wzór się nie powtarza. I jeszcze jedno – na krzyżach etiopskich nie ma Jezusa. To krzyż po Zmartwychwstaniu. Symboliczny i radosny, krzyż po zdjęciu z niego martwego ciała, obecny po to, żeby błogosławić i głosić chwałę.

Złożyło się, że znalazłam je już wcześniej, widziałam wiele razy, przyglądałam się im, dotykałam. Miałam tę okazję, bo w Addis Abebie mieszka Polka zamężna z Etiopczykiem, która czasem odwiedza rodzinę w Krakowie, przywozi ze sobą krzyże i oddaje je do jednej z krakowskich galerii na sprzedaż. Przez całe lata, przechodząc

przez Mały Rynek widywałam je na wystawie. Sama wystawa zawsze robiła na mnie dziwaczne wrażenie. Sąsiadowały na niej ze sobą damskie i męskie ubrania, sztuczne kwiaty, haftowane poduszki, gipsowe rzeźby, widoczki miasta, używana porcelana. A z boku te krzyże, wyrafinowane, subtelne, z innego świata. Pytałam skąd pochodzą i odpowiadano mi, że z Etiopii, nic więcej, z Etiopii, jakby to był jeden mały, jednolity kraj. Dobrze, że wiedziano przynajmniej tyle, choć prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć – z Lalibeli i z Axum. Z Lalibeli i Axum, leżących tymczasem tuż obok zimowych kurtek, w sąsiedztwie bluzek i garniturów, pomiędzy rękawiczkami a rajstopami.

Axum

Będąc w Lalibeli, nie można nie wspomnieć o Axum. To drugie święte miasto Etiopii, założone około tysiąca pięciuset lat p.n.e., stolica państwa, które przetrwało do VI wieku, a potem zostało zniszczone przez najazdy muzułmańskie. Chrześcijanie etiopscy wierzą, że znajduje się w nim Arka Przymierza, wykradziona ze świątyni jerozolimskiej przez Menelika, syna Salomona i królowej Saby. Centrum umarłego, afrykańskiego imperium, któremu udało się przetrwać jako *senne*, rozgrzebane, ubogie miasteczko. Ale to prawdziwy sukces – pomimo wszystko przetrwać, przez całe wieki uparcie istnieć, nie dać się zasypać przez piasek i czas. A Axum nadal istnieje, jest w nim rynek z wielkim figowcem rosnącym pośrodku, trzy albo cztery długie ulice, wiele sklepików z powidłem i mydłem, i kilka angielskich tablic, które sugerują, że to nadal metropolia. Są tam także jedne z najśłynniejszych zabytków Afryki, blisko trzydziestometrowe obeliski, wzniesione ku chwale wielkich władców, o których prawie nic nie wiadomo, ruiny wielu pałaców, przy których spokojnie pasą się kozy, i starożytne stele z inskrypcjami, które stoją przy polnych ścieżkach, chronione blaszaną wiatą zamkniętą na kłódkę – nie wiadomo przed czym, raczej przed złodziejem czy raczej przed deszczem?

W kraju gdzie prawie jedna trzecia ludności posiada broń palną (przeważnie bardzo starą, lecz jednak), jedyna w Axum straż, chudy, zmęczony człowiek z myśliwskim sztucerem, stoi przez kościołem, który Hajle Sellasje wznosił dla mitycznej Arki, a otworzył w roku 1965 wraz z angielską królową. Nie wiemy z jakimi uczuciami Elżbieta Druga słuchała legendy o Arce. Być może robiła to bez żadnych uczuć, a może jednak była trochę wzruszona faktem, że świat Etiopczyków jest nadal aż w takim stopniu przychylny legendom. Przy wielu okazjach opowiadają z powagą historie, które w rzeczywistości nie mogły się wydarzyć. Ta związana z Arką jest z nich najślawniejsza – uprowadzenie najświętszego dla Żydów przedmiotu miało się odbyć za skrytym przyzwoleniem Salomona, zakochanego w swym odzyskanym i znów utraconym synu, a także w jego matce. Drugie przesłanie legendy to wiara w ocalenie. To, co naprawdę święte, nie ginie, ale na przekór wszystkiemu zostaje ukryte i sekretnie zabezpieczone, by nadal trwać.

Legandy są ładniejsze niż nowe budowle. Kościół Arki jest właśnie taki, nowy, ani ładny ani brzydki, trochę zaniedbany. Arka wietrzy się za pluszowymi zasłonami,

które widać wyraźnie przez otwarte drzwi. Gdy się mu przyglądam (nikt nie może wejść do środka, poza wybranymi kapłanami) na zewnątrz brzęczą muchy, panuje nastrój modlitwy i sjęsty. To bardzo osobliwe, tolerancyjne połączenie. Jedni modlą się, przywarci całym ciałem do drzwi kościoła, inni leniwie odpoczywają w cieniu, żebracy żebrzą niezbyt gorliwie, jakby się im niezbyt chciało. Nadchodzi jakiś zakonnik z pobliskiego klasztoru, pyta, czy chcemy zobaczyć cesarskie klejnoty. Jasne, że chcemy, ale gdzie tu klejnoty? Dookoła jest cement i wyschnięta trawa, jeden i drugi płot z oblażących z farby metalowych sztachet. A jednak są. Leżą przy płocie, w żółtym blaszanym pudle podobnym do pojemnika na hydrant przeciwpożarowy. Korony cesarzy, koronne insygnia, darowane sanktuarium. Pochodzą z XIV, XV i XVI wieku. Rzeźbione, cyzelowane, niellowane, z łączonych prób złota i srebra, przedstawiają Władcę jako następcę Ojca i Syna i Ducha Świętego. Można obejrzeć je przez płot, zrobić im zdjęcia, popatrzeć jak zakonnik zamyka blaszane wieko i zabezpiecza je kłódką. Strażnik ze sztucerem patrzy w inną stronę, jesteśmy sami, nic się nie dzieje, myślę, że czegoś takiego nigdy jeszcze nie przeżyłam, nie widziałam.

Koniec mszy w Lalibeli

Nabożeństwo ciągnie się i ciągnie, ludzie kołyszają się i śpiewają, słucham i przestaję słyszeć, nie mogę i nie muszę rozumieć. I wtedy powoli zaczyna do mnie docierać jakaś nowa świadomość miejsca, w którym jestem. Bo przecież prawdą jest, że jestem w środku ogromnej skały, pod ziemią. W sensie dosłownym, materialnym, tak właśnie jest. Wszyscy zgromadzeni w kościele ludzie znajdują się w środku skały, głęboko w ziemi. Jesteśmy nią otoczeni, jesteśmy w jej wnętrzu, odizolowani od tego co na zewnątrz jej twardością, jej strukturą. Obecność skały i ziemi dookoła jest namacalna, a równocześnie symboliczna. Kiedy już wrócę do hotelu wyciągnę z walizki *Starą Afrykę* Basila Davidsona, którą ze sobą wiozę i spróbuję sprawdzić to uczucie dziwnej szczelności i izolacji w rozdziale „Po Aksum”. Davidson cytuje tam relację szesnastowiecznego Portugalczyka, który przybył do Etiopii wraz z synem Vasco da Gamy: *„Nie jest to co prawda ani najwcześniejszy, ani najdłuższy opis Etiopii po wiekach średnich, ale może najciekawszy. Dzięki Castanhosie zrozumiąły się staję podstawowy fakt historii etiopskiej: przetrwanie narodu górskiego wbrew uparciu powracającym najazdom sąsiednich narodów. Castanhosa wyraża zdziwienie człowieka, który ujrzał, jak temu odległemu krajowi afrykańskiemu, nawróconemu na chrześcijaństwo przed tysiącem dwustu laty, cudem udało się zachować swą religię i własne oblicze pośród morza wrogów. (...) Jednakże ta zdumiewająca trwałość była przede wszystkim wynikiem izolacji. Chociaż przetrwanie Etiopii, jej rozwój i jej specyficzna cywilizacja stanowią odrębny i wspaniały rozdział historii afrykańskiej, jest to rozdział dziwnie nie związany z resztą”*.

Nie związany z resztą Afryki – to prawda. Lalibela jest częścią Afryki, ale nie jest z nią związana. A nawet więcej – zdaje się ona należeć do rzeczywistości, która wszędzie indziej, gdzie istniała, przeminęła wieleset lat temu, a tu nadal żyje, choć

nie wedle dawnych praw, a całkiem po swojemu, lecz przecież – i to jest zdumiewające - wbrew wszystkiemu trwa. Lalibela nie jest afrykańska, jest bizantyjska, jest następczynią Aksum, którego król Aizanas został nawrócony na chrześcijaństwo przez bizantyjskich księży około roku 300 n. e., czyli tysiąc siedemset lat temu. I ta część Afryki pozostała bizantyjska, czyli w tym sensie należy nie do reszty kontynentu, ani do reszty chrześcijaństwa wschodniego, z którym nie ma kontaktu, tylko sama do siebie. Należy do swoich skał, do swojej ziemi, do swoich krzyży, do swoich legend. Ile jest jeszcze na świecie takich miejsc? Kilka? A może jeszcze mniej? W Lalibeli – czyli nigdzie... Tyle, że Lalibela jednak bardzo mocno jest.

Do hotelu

Gdy wracałam do hotelu, było już południe, słońce stało wysoko, wiał rześki chłodny wiatr. Znowu pomyślałam o Kapuścińskim i choć szłam drogą, którą widziałam już kilka razy, rozejrzałam się, starając się znaleźć opisane przez niego krajobrazy. Ale znów nie mogłam ich znaleźć. Być może po prostu było to niemożliwe. Zamiast, jak on, tłuc się przez wiele dni ciężarówką przez dziki i umierający z głodu kraj, przyleciałam samolotem z Addis Abeby, wysiadłam z niego na nowym, ładnym, niewielkim lotnisku, zobaczyłam na parkingu czekający na podróżnych mikrobus, który po kwadransie ruszył zupełnie niezłą, asfaltową szosą pośród zielonych wzgórz. Otaczające Lalibelę krajobrazy wydały mi się wprost zawstydzająco przyjazne i ładne. Na soczystych, świeżych łąkach kwitły żółte kwiaty meskel, pola kukurydzy ciągnęły się aż po horyzont między pagórkami. Białe ubrani ludzie, większość w butach, a zdecydowana mniejszość na bosaka, szli poboczem w grupach i pojedynczo, jak mi powiedziano – na sobotni targ. Wstąpiliśmy więc i my, przybysze, na ten targ, żeby zobaczyć Lalibelę codzienną, zwykłą, ani trochę nie upozowaną. Targ był ogromny. Sprzedawano i kupowano mnóstwo towarów, mąkę, żywe ptaki, różne ziarna, jarzyny, owoce, ubrania. Zobaczyliśmy zwykły targ, podobny do wszystkich innych targów na świecie. Tylko ludzie mieli inną cerę, inny język, inne ubrania. Byli biedni, ale nie byli nędzarami. I jeszcze jedno – nie byliśmy im do niczego potrzebni. Nie robiliśmy na nikim wrażenia. Nie byliśmy dla nich ani wrogami, ani zbawcami, ale tylko tym, kim byliśmy naprawdę – podróżnymi, ludźmi którzy przychodzą i odchodzą nie robiąc interesów, turystami. Kupiłam tam sobie bawełniany szal i zrobiłam kilka zdjęć. Na wszystkich widać uśmiechnięte, przyjazne dzieci, kozy na postronkach, rozdyskutowanych dorosłych, wiązki przerażonych albo zrezygnowanych kur. Lalibela przywitała nas życiem. To było ważne.

W niedzielę, po mszy, atmosfera była podobna, chociaż już bez targu. No i teraz wzbudzaliśmy w miejscowych większe zainteresowanie. Otoczyły nas dzieci, jacyś dorośli zapraszali do sklepików z krzyżami, do barów na kawę. Chcąc nie chcąc, dowiedziałam się, że w Lalibeli są już cztery szkoły, niedawno kupiono pierwszy w okolicy komputer, a na miejscowym stadionie za godzinę odbędzie się ważny mecz. Dzieci, biednie ubrane ale wesole, nie zamykały ust, szły obok pytając, śmiejąc się,

świergotając. Skąd jestem, jak mam na imię, czy mam męża i czy kupię ten albo tamten mały krzyżyk, który same zrobiły, najładniejszy w Lalibeli, a już na pewno najtańszy?

Tuż przede mną, do tego samego, bo jedyne go hotelu szedł jakiś wysoki, starszy Amerykanin. Towarzyszył mu przewodnik, młody, cichy mężczyzna, który mało miał okazji coś mu objaśniać, bo przejęty turysta cały czas mówił, głośno powtarzał te same zdania. Chcę wszystkiego dotknąć, skosztować, powąchać! Muszę sam do wszystkiego dotrzeć! Chcę wszystko przeżyć, każdą rzecz z osobna, naprawdę sam!

Ale zdawało się, że ma kłopot z określeniem, co ma zostać przeżyte, dotknięte, skosztowane – że choć już widział kościoły, pejzaż, ludzi i wieś, szuka czegoś innego i nie może tego znaleźć. Szłam za nim może ze trzy kilometry, a on wciąż rozglądał się i powtarzał swemu zbędnemu przewodnikowi to samo: chcę dotknąć, dotrzeć, przeżyć, powąchać... Wieczorem, przy kolacji, którą jadł samotnie przy osobnym stoliku, nie przestał się rozglądać. Nie wiem kim był, ale jedno było pewne – to co zobaczył w Lalibeli nie wystarczało mu. Spodziewał się czegoś innego, czegoś więcej albo mniej, niż zobaczył. Ale czego? Głodu, nędzy, dramatu? Skalnych wnętrz w lepszym stanie? Ludzi mniej czy bardziej pobożnych? Religii żywej czy martwej? Lepszych czy gorszych dróg? Innych kolorów? Chłodu? Upału?

Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć, więc go o to nie zapytałam.

Lalibella 2003

(SUMMARY)

The article refers to the journey to Lalibela, the holy place of pilgrimage in Northern Ethiopia. Lalibela is a complex of medieval churches hewn in massive volcanic rock, hidden inside it and forming its integral part. Due to their special situation, the churches of Lalibela resisted innumerable Muslim invasions and have survived as a unique, still living element of the Christian heritage in Africa. .

Yet, despite intensive research, it is still unknown who built them in the 12th c. Probably Byzantine architects were active here, but the style of the churches is also reminiscent to the architecture of ancient Axum, an African empire which adopted Christianity in approx. 4th c. It is one of the greatest mysteries of human civilisation, while at the same time a mystery of faith – the churches are still used for religious service, and, like centuries ago, continue to be considered holy places by the Ethiopians, especially the Amhars who remained Christians in the sea of Islam.

Until recently the site was practically inaccessible to strangers, protected by hostile landscape and climatic conditions. Unfortunately Lalibela was one of the centres of the great famine which in the 1960s and 1970s took millions of human lives in Ethiopia. This tragedy sets this holy place in a new context.

*Anna Potoczek, dr
Collegium Medicum UJ
Kraków*